

po prostu

TYGODNIK STUDENTÓW I MŁODEJ INTELIGENCJI

List z Łęczycy

W. PIOTROWSKI

Aby pragnienie stało się męczące

Szanowny Panie Redaktorze!

Tak widzę zaczynają wszyscy, ba, nawet Gustaw Morcinek w ostatnim numerze. A chciałoby się tak po prostu napisać: — Kochane Chłopy! — Chcę... i dziewczęta o gorących sercach u Was piszą...

Otóż, Panie Redaktorze, podjęliście wreszcie to, na co daremnie czekaliśmy lata.

Zaczełście rozmowę w naszym języku młodzieńczym, niezakłamanym... serdecznym. Zaczełście mówić i od razu w pierwszych słowach upomnieliście się o nas. O nas, którzy przecież też chcemy walczyć o prawdę, o socjalizm, ale chcemy walczyć prawdą i którym źle było z milczeniem, za burzą...

Jest nas tu w Łęczycy spora grupa... Kilku dziesięciu młodych inteligentów. Jest kilku starszych wiekiem, a tak słonecznie młodych duchem, że aż żal było, że może im przyjdzie tak się zagryźć w osamotnieniu, w milczeniu, za nawiasami. Większość nie próbowała walczyć...

Byli tacy co przyjechali, pokazywali tu i ówdzie dyplomy z niezaschłym jeszcze atramentem, opowiadali, wymachiwali rękoma... Pochozili niczym pawie i wyjechali z czepić się gdzieś w większym mieście. Są tacy, którym przydzielono mieszkanie, umebłowali się, zasiedli do bridge'a i... siedzą tak co wieczór. Kończy się to zwykle kilkoma „głębszymi”. Powtarzający się poranny kacenjamer doprowadza szybko do atrofii... Jest kilku, co biegają niczym zwierzęta dzięki w klatce, obijając się raz po raz o chłód kraly, o obojętność do sprawy inteligenta, o oportunizm kolegów...

PO PROSTU już od dawna nie czytaliśmy. Jeszcze dziś, kiedy wracając z rana z kiosku niosłem Wasze (to znaczy nasze) pismo, jeden z kolegów — zresztą wielki entuzjasta prasy — oświadczył: — PO PROSTU... e, to nieciekawie. „Trzymam”, już nie „trzymam”.

Po rozmowie ze mną wrócił się jednak do kiosku, ale już nie do stał. Nasze kioski otrzymują tylko cztery egzemplarze. Ja jestem starym odbiorcą, więc zatrzymuję... Siedzi tam zresztą nasza koleżanka... „za protekcją”.

Kiedy wyszedł „pierwszy” numer, przybiegł do mnie jeden z kolegów (Wacek M. był Wam „wierny”) i pokazując numer powiedział: — „Bracie, możemy coś wreszcie ruszyć”. Chodziło mu o kulturę (byłem wówczas mocno zaangażowany w miejscowym domu kultury).

Czytaliśmy reportaż z Brzozowa z zapartym tchem. Może wreszcie będzie można działać na całego. Robiło się co prawda to i owo, ale wszystko się rwało. Brakło aktywu inteligencji.

W sierpniu zacząłem wydawać z sekretarzem propagandy, Krysiakiem, miejscową gazetę. „Express Łęczycki” wyszedł, mimo że większość artykułów pisałem sam, używając kilku kryptonimów. Tow. Krysiak „wyduślił” sporo korespondencji z terenu. Posiedzieliśmy potem kilka wieczorów i gazeta wyszła. „Zrobiliśmy” ją organem Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego. Przewodniczącym Komitetu był na urlopie. Bardzo nam potem dziękował. Do dziś wyszły dwa numery — wcale nieźle, ale sytuacja nie uległa zmianie. Gazetę „robimy” nadal prawie we dwóch...

W obu numerach „Expressu” (nazwa niefortunna — zdajemy sobie sprawę), próbowaliśmy trochę „zamieszać”. Próbowaliśmy z lekka poruszyć sumienie społeczne. Wokół interwencji w sprawach kultury rozpetęła się burza. Dziwnym zbiegiem okoliczności... nie ponowiono ze mną od 1 października umowy o reżyserię w PeDeKu. Ale właściwie nie o tym wszystkim chciałem pisać. Dygresje cisną się same pod pióro.

Jestem bezpartyjny. Inteligenci tu dziwnie stronią od partii. W KP zresztą inteligencja nikogo nie interesuje, chyba że... może być użyteczna. Krótkotrwałe i „akcyjne” są te periody zainteresowania. Odczułem to już raz na własnej skórze.

Wylewając naszą gorzycę na KP muszę przyznać, że coś się tam zmienia. Przyszli nowi ludzie. Ze starych są tow. tow. Kłysiak i Zydlar. Wiary w partię nikt z nas dotąd nie stracił...

Na razie w łęczyckich sferach „oficjalnych” główne zainteresowanie skupia się na zagadnieniach gospodarczych. Niby racja — buduje się najpierw bazę. Trzeba się tylko przyjrzeć w jak opłakany stan znajduje się owa budowa, choćby na odcinku spożywczości produkcyjnej. Łatwo będzie zrozumieć, że nie tędy droga.

Do chłopca (właśnie tego malorolnego) trzeba wyjść z oświatą. Trze-

7



ESTHER FOG

„Afryka 1955”

TRZEBA DOGONIĆ WŁASNY NARÓD

PAWEŁ JASIEŃKA

Jerzy Putrament obiecał nam przypisać frontalny atak na kilka schorzeń, gnębnych Polskę współczesną. Słowa dotrzymał. W „Przeglądzie Kulturalnym” ukazały się kolejno trzy jego felietony, utrzymane w duchu ofensywnym. Przypomnijmy je sobie.

Pierwszy to „Witamina I”. Autor stwierdza, że bez objętej, szybkiej, dokładnej i bezinteresownej pomocy z zewnątrz (czyli z zagranicy) nie da się wygrać z chorobą. Wskazuje na przykład na wojnę, którą prowadzi nasza armia, i mówi, że bez pomocy z zagranicy nie da się wygrać.

Felieton „Okrojone autorytety” potępia plagawy obyczaj zmniejszania roli kariery zaprzeczania naukowych oraz mówi o szkodach, jakie wynikają z narzucania uczonych cudzych myśli.

„Planolatria” wyszydza nowoczesną Mojżę, czyli biurokratów, którzy z za warszawskich biurów chcą „centralnie planować” każdą grządkę cebuli, każdy dziesięciokąt faj.

Felieton Putramenta są arcyślusne, dobre, piękne i z pasją napisane. Tyłko... pokażcie mi dorosłego człowieka w Polsce, który by odkrytych przez nie prawd od dawna nie znał. Czy wobec tego artykuły owe były potrzebne? Tak. To właśnie jest okoliczność niepokojąca, że koniecznie należało je napisać i wydrukować, by nadrobić stracony teren. „Nowatorstwo” i odwaga polegały w danym wypadku na stwierdzeniu rzeczy wszystkim wiadomych. Pisarstwo nasze zostało daleko w tyle za świadomością ogółu. Musimy dopędzić własny naród.

Nie chodzi mi tu o krytykę kolegów. Dokładnie widzę belkę tkwiącą i w moim oku. Niedawno temu

pisalem w „Świecie” o prawie człowieka do popełniania błędów. Dokonałem nie lada jakiej rewelacji — starożytni Rzymianie dwa tysiące lat temu byli o niej znakomicie poinformowani. Stworzyli wszak przysłowie: „errare humanum est”.

Kiedy studiowałem „Witaminę I” przypomniał mi się pewien chłop, spotkany kilka lat temu w Warmii. „Panie, u nas gazety czyta się pod kalkę” — powiedział. Miał na myśli właśnie brak objętej, szybkiej, dokładnej i bezinteresownej informacji, bez której nie może być dobrej prasy, o czym naprawdę od dawna nikt nie wątpi. Inny gospodarz — bliżej Olsztyna, w roku 1952 — tak skomentował pewne centralne zarządzenie, skutkiem którego 40 procent kartofli w jego okolicy zostało w ziemi, bo doczekały mrozów: „Jakbym nie wiedział, że to głupota, to bym powiedział, że sabotaż”. A „Okrojone autorytety”? Przecież odgórne kształtowanie poglądów uczonych od wieków słusznie uchodzi za rzecz nie tylko szkodliwą, lecz i haniebną.

Wydaje mi się, że błąd wyciągnięty przez Putramenta na łamy „Przeglądu” dadzą się sprowadzić do jednego, generalnego: do planolatrii.

Chcieliśmy od ręki i apodyktycznie rozstrzygnąć o wszystkim. O architekturze, urbanistyce, najlepszym terminie sadzenia ziemniaków na Podhalu, o tym według jakich nieomylnych reguł i na jakie tematy należy malować obrazy, rzeźbić posągi i pisać książki. O tym, co w gazetach niezawodnie zainteresuje 25 milionów Polaków, od czego zaś odwrócić się oni z niechęcią. O tym, jaka teoria w zakresie genetyki czy

wirusologii jest słuszną. Postępowaliśmy tak, jakby w ogóle możliwe było rozstrzygnięcie o wszystkim już dziś, kiedy ilość znanych faktów jest ograniczona, a ściśnięta badaniem naukowym w niektórych dziedzinach dopiero się uścisnąć zaczęły.

Nie lekceważmy ani zasady planowania, ani znaczenia teorii ogólnych, dających nam metody badania i a rzeczywistości. Pragnęłbym tylko upomnieć się o prawa empirii materialistycznej. Iwan Pawłow głosił, iż każdy krok myśli trzeba niezwłocznie sprawdzać doświadczeniem. Każdy — powtarzam — i obowiązkowo niezwłocznie.

Jest to tym bardziej konieczne, że ilość dokładnie poznanych i wyjaśnionych zagadnień jest na pewno znacznie mniejsza od dotychczas niezbadanych. Możemy sami siebie przyrównać do człowieka znajdującego się w nieśmiertelnej wielkiej hali, której wnętrzu tylko gdzieś jest oświeclone. W partiach zaciemnionych znajduje się mnóstwo przedmiotów. Niektóre z nich, które bardzo liczne, rozpoznaliśmy po omacku. Posiedliśmy pewną praktykę w obchodzeniu się z nimi, ale o ich istocie niczego jeszcze powiedzieć nie umiemy. W tych warunkach łatwo nabije sobie guza ten, kto zlekceważy doświadczenie i nie zechce uznawać istnienia mnogich znaków zapytania lub zacznie się szastać po owej hali tak, jakby wszędzie paliły się światła elektryczne.

Człowiek, który pracuje w fabryce czy laboratorium, uprawia rolę i czyta gazety, kto po prostu sty-

ka się co dzień z konkretem — ten jest szczególnie mocny w dziedzinie doświadczenia. Ta okoliczność częściowo wyjaśnia wspomniany fenomen, że masy od dawna znają prawdę, a dopiero triumfalnie „odkrywane” przez prasę, literaturę oraz niektórych działaczy. Wśród szerokiego ogółu nigdy na przykład nie było wątpliwości, że wiersz liryczny to jedno, a traktat ekonomiczno-społeczny to całkiem co innego. Błędne rozpoznania w tym względzie przytrafiały się tylko w górnych regionach, wśród luminaarzy.

Istnieją jednak i inne przyczyny, dla których wielu spośród piszących musi intelektualnie doganiać własny naród.

Profesor Józef Chalasiński pisał ostatnio w „Przeglądzie Kulturalnym” (nr 159) problem dla niegojszych rozważań bardzo istotny: „Chcemy poznać problematykę kultury współczesnej Francji — pisze profesor — nie tylko po to, aby rozszerzyć i pogłębić nasze rozumienie zagadnień współczesnej kultury światowej, lecz także dlatego, że pomoże to nam w rozumieniu własnej problematyki humanistycznej. Dlatego na przykład reakcyjne „Figaro Littéraire” poświęca wiele miejsca rozwojowi nauk przyrodniczych, a nasze tygodniki społeczno-literackie są tak odcięte od nauki, a zwłaszcza od nauk przyrodniczych i technicznych... Rodzi się pytanie, w jaki sposób podobna funkcja łączenia zainteresowań dla celów zagadnień nauki i kultury współczesnej — choćby wśród samych intelektualistów, jeśli nie

wśród szerszych kręgów inteligencji — odbywa się u nas, gdzie nie ma podobnego typu mieszczaństwa” (mowa o redagowanych przez J. P. Sartre’a „Les Temps Modernes”).

Wcale się nie odbywa!

W „Okrojonych autorytetach” Jerzy Putrament wspominał o sporze między Łysienką a jego przeciwnikami i napisał dosłownie tak:

„W tej sprawie nie obojędności, ale obojędności, że wiersz liryczny to jedno, a traktat ekonomiczno-społeczny to całkiem co innego. Błędne rozpoznania w tym względzie przytrafiały się tylko w górnych regionach, wśród luminaarzy. Istnieją jednak i inne przyczyny, dla których wielu spośród piszących musi intelektualnie doganiać własny naród. Profesor Józef Chalasiński pisał ostatnio w „Przeglądzie Kulturalnym” (nr 159) problem dla niegojszych rozważań bardzo istotny: „Chcemy poznać problematykę kultury współczesnej Francji — pisze profesor — nie tylko po to, aby rozszerzyć i pogłębić nasze rozumienie zagadnień współczesnej kultury światowej, lecz także dlatego, że pomoże to nam w rozumieniu własnej problematyki humanistycznej. Dlatego na przykład reakcyjne „Figaro Littéraire” poświęca wiele miejsca rozwojowi nauk przyrodniczych, a nasze tygodniki społeczno-literackie są tak odcięte od nauki, a zwłaszcza od nauk przyrodniczych i technicznych... Rodzi się pytanie, w jaki sposób podobna funkcja łączenia zainteresowań dla celów zagadnień nauki i kultury współczesnej — choćby wśród samych intelektualistów, jeśli nie

I gdybyż to jeszcze chodziło o same tylko nauki przyrodnicze i techniczne! A gdzież są ślady zainteresowania taką na przykład historiografią?

A tymczasem masy czytelnice bardzo pragną wiedzieć, co nowego w nauce. I dowiadują się. Za dowód niech nam posłuży ogromny, do niedawna nie mający sobie równego na globie, nakład mieszczańska popularno-naukowego „Problemy”. Ostatnio jeden z miesięczników radiotelegraficznych zaczął drukować nieco więcej numerów niż „Problemy”. Ale Polska to 25 milionów — ZSRR

ma osiem razy więcej ludności. Rekord światowy nadal należy do nas.

Uprzemysławiamy kraj, zakładamy liczne laboratoria i instytuty badawcze, popieramy racjonalizatorstwo. Wszystko to sprawia, że wiedza przyrodnicza i techniczna wlewa się w naród rzeką. Tylko wielu intelektualistów trzyma się z dala od jej fluktów. Doliczmy lepszemu u nas, na doświadczeniu opartą znajomość życia kraju, a przestaniemy się dziwić, że dystans wzrasta.

Hereżę głosi ten, kto wyobraża sobie, że można posiadać jakąś istotną wiedzę o nowoczesnym społeczeństwie nie interesując się osiągnięciami nauki.

Przyjmuje się za pewnik, że autor książki musi być mądrzejszy od czytelników, więcej od nich wiedzieć. Przeglądając współczesną produkcję literacką dochodzę do wniosku, że w większości wypadków jest akurat odwrotnie: czytelnicy wiedzą lepiej i więcej o każdym z poruszonych przez autora tematów. Odnosi się to oczywiście do powieści o tematyce współczesnej. Historyczne w grę nie wchodzi. Bez specjalnego trudu można wygrzebać z przeszłości wątki i fakty, o których niewielu ludzi słyszało.

Wydaje mi się, że poruszony w tym artykule problem zalicza się do zasadniczych i kluczowych. Przyszłość prozy literackiej zależy od tego, czy przynurimy właściwe proporcje, to znaczy czy autorzy znawcy zaczną naprawdę wiedzieć lepiej.

Trzeba naśladować piękne przykłady Prusa i Orzeszkowej. Nie na innej rady.

Dlaczego broń dla Egiptu

Stwierdzenie, że wiadomość o umowie czesko-egipskiej wywołała popłoch w Waszyngtonie i Londynie, nie będzie chyba odkryciem Ameryki. Wiadomo, że od razu Dulles i Macmillan opublikowali wspólny komunikat w tej sprawie, że następnego dnia podsekretarz stanu Allen polecił do Kairu, ażeby spróbować zmienić decyzję rządu egipskiego i że w ogóle gorączkowa działalność dyplomatyczna Zachodu jeszcze nie ustala.

Prasa zachodnia poświęca temu problemowi wiele miejsca, również u nas jest on tematem ożywionych dyskusji.

„Jakie mamy gwarancje, że pułkownik Nasser nie będzie używał tej broni w niewłaściwych celach np. po to, żeby strzelać do demonstrujących robotników?” Zdanie to w tej lub innej formie usłyszałem kilkakrotnie i utkwiło mi w pamięci.

Rzeczywiście, jakie mamy gwarancje? Trzeba przyznać, że właściwie żadne. Wiadomo przecież, że w Egipcie partia komunistyczna jest nielegalna, że wielu działaczy komunistycznych i robotniczych znajduje się w więzieniu itp.

Dlaczego więc Czechosłowacja zgodziła się na sprzedaż broni? Wydaje mi się, że odpowiedź można znaleźć, stawiając najpierw inne pytanie. Co by się stało, gdyby żaden kraj naszego obozu nie odpowiedział na propozycję Nassera, domagającego się broni na zasadach czysto handlowych?

Przypomnimy sobie. Nasser zwrócił się do wszystkich państw, licząc przede wszystkim na mocarstwa zachodnie. USA, Anglia i Francja stawiały jednak różne warunki, jak popieranie francuskiej polityki w Afryce Płn. lub przystąpienie do paktów wojskowych inspirowanych przez USA. W danym wypadku rząd egipski, nie dysponując własnym przemysłem zbrojeniowym i wobec braku ofert z naszej strony, byłby ostatecznie zmuszony

zwrócić się do mocarstw zachodnich, tzn. przyjąć ich warunki i sprzedać za pewną ilość broni niepodległość kraju. Odmowa Czechosłowacji oznaczałaby więc wzmocnienie frontu imperializmu w tej stronie świata i odwrótnie, układ handlowy Praga — Kair, stanowi poważną przeszkodę dla planów Waszyngtonu. Pokrywa się to z oceną obserwatorów zachodnich. Znany komentator BBC Mr Eickham Sweet Escott w komentarzu pt. „Mistrzowskie posunięcie Rosji” stwierdza, że sytuacja, która powstała, może nawet uniemożliwić dalsze rozszerzenie paktu wojskowego Irak — Turcja. Z drugiej strony proamerykański „Economist” uważa, że „dla większości Egipcjan nagła podróż amerykańskiego podsekretarza stanu do Kairu jest po prostu dowodem, że oplać się uprawiać politykę neutralności”. Powstaje pytanie: dlaczego Waszyngton — Londyn pozwolił na taki rozwój wypadków? Mogli przecież odpowiedzieć na propozycję Nassera, zanim doszło do umowy z Czechosłowacją. Dlaczego tego nie zrobili? Można chyba zaryzykować następujące wytłumaczenie: politycy Zachodu rozumując własnymi kategoriami po prostu nie uwierzyli, że ktoś może się zgodzić na sprzedaż broni bezwarunkowo, nie żądając wzajemnych przywilejów i koncesji.

Czyż nie wiedzieli oni, że kraje nasze wypowiadają się za równością, poszanowaniem suwerenności i nieingerencją w sprawy wewnętrzne innych państw?

Owszem, wiedzieli. Ale w głębi duszy mimo wszystko nie wierzyli. Bo — niech ci panowie mi wybaczą — tak weszło im w krew stosowanie zasady Machiawella, głoszącej, że język jest dany ludziom po to, by ukryli swoje myśli, że nie mogą się przyzwyczaić do naszej dyplomacji, gdzie szczerzy język służy szczerzej myśli i prowadzi do szczerzych czynów.

WIKTOR

Miejsce na świecie

Wielce Szanowny Panie Dyrektorze!

W chwili kiedy Pan na nowo podejmuje pracę w Pańskim zaskożonym i od dawna cenionym liceum, uważanym za jedno z najlepszych w naszej stolicy, mam nadzieję, że wybacz Pan, jeżeli niżej podpisany — jeden z pańskich uczniów — wysłał doń skromny list. Zawiera on moje zwierzenia, refleksje jednego z 7 milionów uczniów, którzy w nowym roku szkolnym przekroczą próg wło-

skich szkół i uczelni; jednego z 1.200.000 uczniów szkół drugiego stopnia, jednego — na koniec — z czterystu pańskich wychowanków. Zwierzenia te powinny Pana zainteresować, gdyż wszystkie podjęte w nich problemy są obecnie przedmiotem dyskusji milionów rodzin we Włoszech.

* * *

JAK ZNALAZŁEM SIĘ W PAŃSKIEJ SZKOLE?

Lepiej niż ja, wie Pan, Panie Dyrektorze, jak w praktyce odbywa się wybór szkoły.

W teorii między człowiekiem doszedłszy do pewnego wieku, w którym umie wybrać między swoimi zamiłowaniami i swoimi, często wielostronnymi aspiracjami, poradziwszy się rodziny i nauczycieli, powinien tylko powziąć decyzję. Na przykład taką: „Ojciec, chcę zostać lekarzem”.

Tutaj pozwolił Pan, że przytoczę dosłownie krótką rozmowę między mną a ojcem.

Ja — Tatusiu, chcę zostać lekarzem.

Ojciec — Człowieku, co ci strzeliło do głowy?

Ja — (osłupiały) Jak to! Wydaje mi się, że to wzniosłe zamierzenie. Chcę mieć ulgę cierpiącym ludziom!

Ojciec — Piękne słowa, ale cóż widzę, że nie czytaś gazet. Patrz, dzisiejsza prasa podaje tekst przemówienia senatora Tessitori — Wysockiego Pełnomocnika do spraw zdrowia i higieny. Oświadczył on, że we Włoszech jest zbyt wielu lekarzy gdyż aż 123 na każde 100 tysięcy mieszkańców; zatem — dowodzi senator Tessitori — byłoby celowe wygranice pewnej ilości lekarzy zagranicę. Chcesz studiować medycynę by potem emigrować?

Ja — (który jednak czytuje prasę, choć mój ojciec zdaje się o tym nie wiedzieć) — Jednakże są kraje, gdzie ilość lekarzy jest wyższa niż we Włoszech, zresztą wszyscy wiedzą, że u nas pomoc lekarska absolutnie nie jest tak sprawna jak być powinna.

Ojciec (niewzruszony) — Póki ja żyję, nie będziesz lekarzem! A zresztą masz jeszcze czas. Skończ liceum i wtedy się zastanowisz...

*

Przy wyborze typu szkoły średniej nie było wątpliwości. Ostatnie słowo wypowiedziała moja matka: „Liceum „A” byłoby w sam raz. Ale jest za daleko. Trzeba by jechać dwoma tramwajami i jeszcze trólejbusem”. Zatem liceum „A” odpadło. Matka dodała jeszcze: „A zresztą dlaczego masz koniecznie chodzić do liceum? Przecież seminarium nauczycielskie mamy prawie naprzeciwko bramy; trzeba tylko przejść przez ulicę, która na szczęście posiada regulację świetlną”.

Buntuję się; nie chcę być nauczycielem. Przecież dziesiątki tysięcy nauczycieli nie mają prac. Są tacy, którzy od 10 lat czekają na posadę zastępcy nauczyciela; wielu może tylko wówczas mieć nadzieję na pracę, jeżeli epidemia uśmierci obecnych nauczycieli.

Pańskie liceum, Panie Dyrektorze, odległe jest od naszego domu tylko o 3 przystanki trólejbusem. Wybacz Pan, ale jeśli jestem Pańskim wychowankiem to w znacznej mierze (powiedzmy w 50 proc.) dzięki temu, szczęśliwemu dla mnie, rozkładowi miejskiej sieci komunikacyjnej. Ilu włoskich uczniów uczęszcza właśnie do tej, a nie innej szkoły jedynie z powodów „tramwajowych”? A iluż innych ma do zawdzięczenia wybór szkoły innym równie blahym powodom?

WYBIERAMY SOBIE ZAWÓD

Istnieje specjalna teoria w kwestii wyboru zawodu; istnieją „ośrodki psychotechniczne” w Mediolanie i Turynie; są instytucje, które zajmują się przeprowadzaniem egzaminów kwalifikacyjnych w Sienie, Wenecji, Padwie, Modenie i innych miastach. Jeden z takich ośrodków, a mianowicie ośrodek w Mediolanie, stwierdził u mojego kuzyna wyjątkowe zdolności do fizyki elektronowej, dodając, że jest on po prostu „powołany” do tej dziedziny wiedzy (co zresztą odpowiadało jego pragnieniom). Dostałem wczoraj od niego list, w którym donosi, że zapisał się do szkoły handlowej, jako że właśnie tę szkołę może skończyć w czasie krótszym niż inną. Będzie zatem buchalterem. Będzie skamleć o pracę w banku, albo w biurze loteryjnym.

Ala dlaczego — zapyta Pan — nie zapisał się do szkoły technicznej? Ponieważ opłaty w szkołach tego typu przekraczają możliwości płatnicze jego oia, a mego wuja. Szkoła im. Foltrimellogo w Mediolanie jest niewątpliwie znakomita. Ale opłaty za naukę, za korzystanie z warsztatów itd. wynoszą 16 tysięcy lirów w pierwszym roku nauki, 18 tysięcy w drugim i trzecim, a 22 tysiące w czwartym i w piątym. Do tego trzeba dodać wydatki na mundur szkolny, na przybory i narzędzia itd. — Ale mógł się chociaż za-

pisać do technikum przemysłowego — zaoponuje Pan. Owszem, gdyby mieszkał w Piombino mógłby się zapisać do tamtejszego technikum zawodowego, po ukończeniu którego można zostać wykwalifikowanym robotnikiem przemysłu hutniczego. Ale co potem? W Piombino są kopalnie żelaza. Ale tam wymawia się pracę starym specjalistom, którzy pracują od lat w swym fachu. Tym bardziej więc nie przyjmuje się nowych.

Przypuśćmy na chwilę, że kuzyn mój mieszka na wsi, w jakimś bogatym okręgu rolniczym. Cóż naturalniejszego wtedy niż zdobyć fach specjalisty-rolnika? Tylko, że znów stajemy w obliczu tego samego problemu. Nie ma jakiegokolwiek nadziei na szybkie znalezienie pracy. Można ją dostać w Wenezueli — mówią znawcy zagadnienia. Ale jak długo trwać będzie „głód” Wenezueli na agronomów?

SZKOŁA I ŻYCIE

Non scholae sed vitae discimus — uczymy się nie dla szkoły, lecz na całe życie — oto dictum, które umieję na pamięć. „Życiem” dla nas są dzisiejsze Włochy i właśnie w tym społeczeństwie musimy znaleźć sobie nasze „miejsce na świecie”. Ale jakie realne perspektywy daje to społeczeństwo?

Nie jest tajemnicą dla nikogo, że prawie połowa absolwentów włoskich zajmuje się pracą nie umysłową (dane te pochodzą z Głównego Instytutu Statystyki). Co drugi zatem absolwent we Włoszech nie może sobie znaleźć „miejsca na świecie” już nie tylko zgodnego z zamiłowaniami, ale nawet z dyplomem, który go upoważnia do zajmowania określonej pozycji społecznej. Nie będę Panu mówił o adwokatach pracujących na małych posadkach w ministerstwach, bądź o absolwentach uniwersytetów pracujących w policji czy na kolei. Nie będę Panu mówił o ludziach z wyższym wykształceniem, pracujących jako robotnicy fizyczni w elektrowniach, bądź jako nadzorcy przy budowie. Jest faktem znanym, że we Włoszech jest zbyt dużo absolwentów, za dużo ludzi z dyplomem wyższych studiów w kieszeni. — Tylko, że to nieprawda. We Włoszech jeden ab-



Pierwsze dni nauki na włoskich uczelniach. Studenci sprzedają książki z roku poprzedniego, by kupić sobie nowe. Ale również komplet książek nabyty z „drugiej ręki” kosztuje bajonkie sumy. Uczeń szkoły średniej w ciągu roku wydaje przeciętnie 15 tys. lirów na książki, 5 tys. na przybory szkolne, 5 tys. na opiekę lekarską i 20 tysięcy na korepetycje oraz upłaca poważne czesne.

solwent przypada na dwieście osób; jest to mniej niż w USA, niż w ZSRR, niż w Kanadzie. W wymienionych zaś krajach ciągle mówi się, że inteligencji jest za mało. Niestanny rozwój nauki i techniki, powstawanie nowych dziedzin produkcji, rozwój nowoczesnej chemii, zwiększające się potrzeby społeczeństwa, zdawałoby się, że powinny powiększać zapotrzebowanie na ludzi z wykształceniem technicznym. Tymczasem u nas coraz częściej widzimy takich ludzi bez pracy. Co się dzieje, Panie Dyrektorze?

To co się dzieje jest bardzo proste i bardzo smutne: gospodarka włoska nie idzie naprzód ale cofa się; przemysł narodowy wegetuje i wybiera niewłaściwe drogi pod naciskiem tych nielicznych, którzy z tego korzystają (monopole). Przeżywamy zachód starych systemów społecznych i politycznych, które nie są w stanie zapewnić odpowiedniego poziomu życia większości obywateli i również nie mogą zapewnić młodzieży „miejsca na świecie”. Społeczeństwo, w którym się mówi, że zbyt wielu jest studentów, że za dużo jest lekarzy, nauczycieli (przy takim odsetku analfabetyzmu) zbyt wielu ludzi z wykształceniem technicznym, zbyt wiele inteligencji... jest społeczeństwem starym, przetrzymem.

Studuję w Pańskiej szkole, Panie

Dyrektorze, pełen dobrej woli, pełen entuzjazmu, pełen ochoty wyróżnienia się. Ale co będę robić „po tem”? To jest najważniejsze pytanie, które nieustannie zadajemy sobie i innym. my, uczniowie i studenci oraz nasi rodzice. Aby móc wierzyć w szkołę, sens uczenia się, musimy również móc wierzyć w życie, w społeczeństwo, we Włochy. Czujemy się zaś izolowani w nienaturalnym świecie, gdzie istotną rolę odgrywają jedynie pieniądze. Chcemy, by w świecie starczyło dla nas miejsca! I to jest właśnie konkluzja, do której chciałem dojść, Panie Dyrektorze, by powiedzieć Panu, że nie czuję się jedynie skromnym uczniem, który uczy się, aby zrobić przyjemność rodzicom i mieć dobre stopnie, ale człowiekiem, który przez naukę przygotowuje się do życia w społeczeństwie, do przemieniania tego społeczeństwa tak, aby nauczyciele nie musieli być robotnikami rolnymi, przeciwnie zaś, by robotnicy rolni mogli się uczyć i stawać nauczycielami.

Jestem pewien, że również Pan, Panie Dyrektorze, pomoże mi, abym uczył się nie tylko po to, aby zostać lekarzem (nie zrezygnowałem z moich planów), inżynierem, czy mierzniczym, ale przede wszystkim by zostać — człowiekiem.

Z głębokim poważaniem — Pański uczeń **FRANCO DE BELLIS**

kramik



Communists: World's Finest Athletes?

The same thing is our side of a battlefield. While we siping sodas, watch sports on television, Soviet hands are reaching out for sports medals in the Soviet Union and tens of thousands of Communist youth train in the Soviet Union — aiming to sweep the 1968 Olympics and "win" the world's best Communist athletes better than.

Why a battlefield? Because the Communists are finding that the deliberate making of champions is effective propaganda... contrasting their Spartan training and competitive sports with the "soft" life of democratic nations... opening up one more area of victory in a worldwide struggle.

Can we stop them? There are the will to do so? Every young Canadian who devotes his time to watching at a more time to training... someone who plays harder to win... more victory than sports produce is a blow to Communism. There is a battle to win... and free men must win it.

CANADAIR
LIMITED, MONTREAL

THE ONLY WAY YOU CAN SERVE YOUR COUNTRY NOW IS IN THE AIR FORCE

N-pierw napis:

„Czy orientujemy się, gdzie należy stać czoło komunizmowi?”

Pod nim zdjęcie przedstawiające sympatycznego młodego człowieka, który popijając lemoniadę w barze przygląda się zawodom sportowym w telewizorze. Następnie dłuższy tekst:

„Komuniści najlepszymi atletami świata”.

Obrazek powyższy przedstawia naszą stronę pola bitwy. Podczas gdy my, popijając lemoniadę, oglądamy zawody sportowe w telewizorze, sowieckie ręce wyciągają się raz po raz po rekordy sportowe, a dziesiątki tysięcy młodych komunistów bezustannie trenuje, ażeby osiągnąć jeszcze więcej — zdobyć zwycięstwo na Olimpiadzie w 1968 r. i „udowodnić” światu, że komunizm wychowuje lepszych ludzi.

Dlaczego pole bitwy? Ponieważ komunizm doszł do wniosku, że zorganizowanie produkowania championów stanowi skuteczną propagandę. Przecistawiając swój spartański trening i przynusowość sportu „miękkemu” życiu demokratycznych narodów stwarzają oni sobie jeszcze jedną możliwość zwycięstwa w światowych zmaganiach.

Czy możemy ich powstrzymać? Czy starczy nam na to woli? Tak, jeśli każdy młody Kanadyjczyk będzie poświęcał

innej czasu na patrzenie, a więcej na trening, każdy uprawiając sport będzie dążył usilnie do wygranej. Każde zwycięstwo, które uświadzy te wysiłki — to cios w komunizm. Przed nami jest walka, którą należy wygrać... i wolni ludzie muszą ją wygrać”.

Chcecie oczywiście wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Czy to nie grafomański wybrzyk jakiegoś sportowego zwolennika Mac Carthy'ego? Nie. Osobliwy ten dokument jest ogłoszeniem lotniczych linii kanadyjskich CANADAIR, zamieszczonym w kanadyjskiej mutacji znanego amerykańskiego pisma TIME. Nieuświadomy czytelnik mógłby myśleć, że CANADAIR zamieszcza ogłoszenie, by dać wyraz swym przekonaniom ideologicznym.

Nie o to jednak chodzi. CANADAIR jest w rękach amerykańskiego koncernu GENERAL DYNAMITS CORP.

To by było chyba wszystko. Zwracamy jeszcze uwagę na napis znajdujący się pod ogłoszeniem: „Młodzi ludzie! Macie możność służyć swemu krajowi w lotnictwie wojskowym”.

Tak. Teraz już wszyscy wierzą w „amatorski” charakter sportu uprawianego przez GENERAL DYNAMITS CORP. (k)

II KRAJOWY ZJAZD ZSP

Plenum Rady Naczelnej ZSP obradujące ostatnio w Warszawie, postanowiło zwołać II-gi Krajowy Zjazd ZSP w dniach od 2 do 4 grudnia 1955 r. do Warszawy, z następującym porządkiem dziennym:

1. Sprawozdanie Rady Naczelnej ZSP z działalności Zrzeszenia Studentów Polskich.

2. Sprawozdanie Głównej Komisji Rewizyjnej.

3. Dyskusja.

4. Przyjęcie uchwały o zmianach w Statucie Zrzeszenia oraz rezolucji i uchwał przedstawionych przez Komisję Zjazdu.

5. Wybór centralnych Władz Zrzeszenia.

Plenum Rady Naczelnej postanawia, że wybory delegatów na Zjazd zostaną przeprowadzone na walnych zebraniach i na Uczelnianych Konferencjach Wyborczych

wg. rozdzielnika 1 delegat na 500 członków z zachowaniem zasady, że każda organizacja uczelniana będzie reprezentowana przynajmniej przez jednego delegata.

Plenum Rady Naczelnej wzywa wszystkich członków Zrzeszenia do wzięcia czynnego udziału w kampanii sprawozdawczo - wyborczej i szerokiej dyskusji poprzedzającej Zjazd.

Mała konfrontacja



Scena Młodzieżowa Teatru Śląskiego w Stalino-
grodzie. Henryk Maruszczyk (Zawada), Stefan Giletycz (Jurkiewicz),
Teresa Kamińska (Dobrzańska) i Stanisław Brudny (Kazek Wójcik).

(Fot. B. Stapiński)

Są w Polsce trzy szkoły aktorskie, głośne, znane wszystkim. Dużo się o nich mówi i pisze. Studenci tych szkół mają zapewnione stypendia, mieszkania, ulgi w korzystaniu z komunikacji, dobrze wyposażone sale wykładowe, znanych pedagogów. Po ukończeniu studiów co zdolniejsi absolwenci tworzą w teatrach prowincjonalnych bojowe grupy, wychodzą do widza z wielkimi koncepcjami nowego teatru. Zazwyczaj jednak już po roku zniechęcają się, przestają wierzyć w możliwość zrealizowania swych celów, nudzą się i, jeśli im się uda uciekają do Warszawy. Mniej zdolni i mniej ambitni zaczepiają się w różnych teatrach i bez większego entuzjazmu wykonywać swe obowiązki. I jedni i drudzy czują się zawiedzeni, nie doceniani, zajmują pozycję biernych wykonawców poleceń kierownictwa, przestają mieć w końcu cokolwiek do powiedzenia.

Od kilku lat istnieje w Stalino-
grodzie Studio Dramatyczne przy Teatrze im. Wyspiańskiego. Mało kto o nim wie, nie mówi się o nim i nie pisze. Dziwne to trochę studio. Powstało z rzeczywistej potrzeby społecznej. Wychowankowie studia mieli stanowić załącznik teatru młodzieżowego. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak bardzo dla Śląska — stanowiącego niezwykle chłonny kulturalnie teren — potrzebny jest taki teatr. Nie posiada jednak to studio ani w jednej trzeciej takich warunków, jak szkoły aktorskie. Jedna obskurna sala i dwa małe pokoje — oto całe pomieszczenie. Uczestnicy studia do tej pory nie mają gdzie mieszkać, nie mają ulg na przejazdy kolejowe, mężczyźni obowiązują normal-

na służba wojskowa. Grono wykładowców ogranicza się z konieczności do pracowników artystycznych Teatru Śląskiego i miejscowych działaczy kulturalnych. Odkąd istnieje studio, toczą się zawzięte boje z różnymi ministerstwami o przyznanie mu pełnych praw. Niestety, do tej pory bez skutku.

Z tego oto zapomnianego przez wszystkich studia wyszła w czerwcu 1953 roku pierwsza grupa młodych aktorów. Ten zakochany w teatrze i pełen zapału do pracy zespół wziął się po prostu do solidnej, rzetelnej pracy.

Pierwszym jego dziełem było wzruszające przedstawienie „Pocematu pedagogicznego” Makarenki. Potem wystawiono z niemięszym powodzeniem „W małym domku” Rittnera, „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego i dwie jednoaktówki Fredry: „Odlutki i poeta” oraz „Świeczka zgasła”.

I tak w praktyce powstał na Śląsku teatr młodzieżowy grający na scenie Teatru Wyspiańskiego. Powstał teatr spełniający bez zbędnego rozgłosu swą pożyteczną rolę. Jest to w ciągu ostatnich lat jedyny młody kolektyw, który nie zniechęcił się, nie ułaski się trudności i od dwóch przeszło lat pracuje z poświęceniem dla śląskiego społeczeństwa.

Pod koniec września brałem udział w uroczystości, która odbyła się za kulisami sali teatralnej stalino-
grodzkiego Pałacu Młodzieży. Wspólnie z reżyserem Józefem Parą i młodym zespołem przeżywałem uroczystą chwilę: sukces premiery „Maturzystów” i oficjalne otwarcie Młodzieżowej Sceny na Śląsku. Po przeszło dwóch latach starań o nie wykorzystywaną należycie salę w Pałacu Młodzieży zdecydowano się wreszcie utworzyć tam na razie Scenę Młodzieżową Teatru Śląskiego.

Dążenia zespołu do stworzenia własnego teatru zostały zrealizowane. Pełne pasji i zupełnie niezłych kreacji aktorskich przedstawienie „Maturzystów” pozwala przypuszczać, że młody zespół potrafi w przyszłości stworzyć dobry, ciekawy teatr, teatr o samodzielnym obliczu artystycznym.

MARKUS

JERZY FELIKSIĄK

Pytania

o moją poezję

Drwale wierszy nie piszą, szorstkie mają ręce.
I niewiele słów mówią, gdy powalą sosnę.
Lecz kiedy po robocie ciała chłodzą w rzece.
Serca szemrzą w niej z sosną zmienioną w kształt wioseł.

Cóż byście powiedzieli, poeci, artyści,
Gdybym spytał, czy dobrze, że drwał ścina drzewo,
Że siekierą oddzieli od pnia gałąź z liśćmi.
By już nigdy nie mogła po staremu śpiewać?

Cóż byście powiedzieli poeci, artyści,
Gdybym twierdził, że stukot siekiery to słowo,
Rytmem życia nazywał cios bez nienawiści,
A na wiersze tłumaczył milczącą surowość?

I coż byście mówili gdybym dodał jeszcze,
Że bez harmonogramów, bez blasków magnetyzji,
Tworzę nowe obrazy w starym heksametrze
I od drwali się uczę najnowszej poezji?

ADAM BARON

Cieżarna

Jestem słońcem w południe,
Jestem złotym orzechem,
Ziemią w czas urodzaju,
I owocem i śmiechem...

W siebie samą wsłuchana,
W ciepłą przyszłość się spiesząc,
Potakuję zegarom,
Że niedługo — za miesiąc...

A za miesiąc przybiegniesz,
Jakimś rankiem wzruszonym:
— „Proszę — siostrę — to oddać —
to są kwiaty — dla żony”

ERSKINE CALDWELL

SIERPNIOWE POPOŁUDNIE

Vic Glover obudził się. Południowy upał dzwonił w uszach. Spał dopiero półtorej godziny, był więc gotów obrócić się na drugi bok i spać dalej — kiedy otworzywszy na chwilę oczy, zobaczył welnistą, czarną głowę Huberta nad swymi gołymi palcami u nóg.

Rozwarł powieki i mimo rażącego blasku trzymał je otwarte tak długo, jak tylko mógł.

Hubert stał na podwórku, tuż przy werandzie z szyszką w ręku.

Vic sklął go.

Czarny raz jeszcze pociągnął szyszką po gołych palcach Vica łachocząc je od spodu, potem cofnął się do tyłu poza jego zasięg.

— Co to ma znaczyć, że tu stoisz i łachoczesz mnie tą w piekle wysmażoną szyszką — wrzasnął Vic do Huberta. — Czy to wszystko, co masz tu do roboty? Dlaczego nie pójdziesz na pole i nie zabierzesz się do liszek? Gotowe zeżreć tam każde ziarno bawelny, jeżeli się ich nie powstrzyma.

— Na pewno przykro mi było obudzić Pana, Panie Vic — powiedział Hubert — ale jest tu jakiś biały, który na coś czeka. Nie mówię czego chce — ani z jakiego powodu tu stoi.

Vic usiadł, zupełnie już przebudzony. Przysiadł na koldrze, nie patrząc na podwórko wciągnął obuwie. Ponieważ biały piasek blaskiem słońca bił prosto w oczy, nie widział nie poza brzegiem werandy. Hubert cisnął pińową szyszkę pod werandę i usunął się na bok.

— Na pewno szuka zaczepki — powiedział Vic. — Tak to jest zawsze, kiedy przyleża, siedzą i nie mówią — szukają guza.

— Oto on, Panie Vic — powiedział Hubert, wskazując głową w stronę podwórka. — Właśnie tam siedzi oparty o wodny dąb.

Vic rozglądał się za Willie. Willie siedział na najwyższym stopniu schodów po drugiej stronie werandy — równo na wprost obcego. Nie patrzyła na Vica.

— Powinienem wymyślić coś mądrzejszego — aniżeli obudzić mnie z drzemki. W lecie to nie jest pora na wstawanie. Należy mi się od czasu do czasu trochę snu.

— Szeffe — powiedział Hubert — wcale bym Pana nie budził, o żadnej porze, ale panna Willie siedzi

wysoko na schodkach, pokazuje co nieco, a ten biały sterczy tam cały czas, słowem się nie odezwie i nic, tylko struga scyzorykiem mały kawałek patyka. Strach mnie obliczał, że może coś się wydarzyć, potem kiedy z patyka co go struga nic nie zostanie. A patyk jest już prawie zestrugany doszczętnie. Dlatego obudziłem Pana — Panie Vic. Z tego struganego patyka mało co już zostało.

Vic znowu spojrzał na Willie, potem odwrócił się od niej i zagapił się na obcego, który siedział na frontowym podwórku pod drzewem wodnego dębu. Strugany kawałek drzewa był już cienki jak papier.

— Szeffe — powiedział Hubert — prawda, że nie mamy zamiaru szukać sobie dzisiaj kłopotów — no nie?

— Z której strony przyszedł? — zapytał Vic ignorując pytanie.

— Wcale nie widziałem jak przychodził, Panie Vic. Właśnie spojrzałem a on tu siedzi pod tym dębem i struga kawałek patyka. Widzi mi się, że musiałem spać kiedy przyszedł, ponieważ jak spojrzałem — już tu był.

Vic zsunął się z koldry, zwiłsił nogi przez krawędź werandy. Kiedy tylko usiadł, pot zaczął spływać mu po karku.

— Hubert, zapytaj go — czego tu szuka?

— Prawda, że nie mamy zamiaru szukać dzisiaj sobie kłopotów — no nie, Panie Vic?

— Powiedziałem, żebyś zapytał go, czego tu chce.

Hubert przeszedł prawie połowę drogi w kierunku drzewa wodnego dębu i stanął.

— Pan Vic powiedział — czym może wam białym służyć?

Tamten nie otworzył ust. Nawet nie podniósł w górę oczu znad struganego przez siebie kijaszka.

Hubert zawrócił w kierunku werandy. Białka jego oczu stawały się większe z każdym krokiem.

— Co powiedział? — zapytał go Vic.

— Nic jeszcze nie powiedział, Panie Vic. Zachowuje się tak jakby wcale mnie nie słyszał. Już lepiej niech Pan z nim pomówi, Panie Vic. Wcale nie zwraca na mnie uwagi. Mnie się widzi, że on nie tylko przygląda się Pannie Willie, która siedzi na najwyższym schodku. Może, gdyby Pan kazał jej wejść do domu i poleciał jej, żeby zamknęła za sobą drzwi — można by go nakłonić do zwrócenia uwagi na to, co się do niego mówi.

— Nie widzę żadnego sensu posyłać jej do domu — powiedział Vic. — Potrafię zmusić go do gadania. Podaj mi żelazny drąg do podpierania bel przy zbiorze bawelny.

— Panie Vic, staram się właśnie powiedzieć Panu o Pannie Willie. Panna Willie siedzi tam na najwyższym schodku, pokazuje co nie co, a on gapi się na nią już całkiem długo — Panie Vic. Jeżeli nie ma Pan nic przeciwko temu co powiem, panie Vic, moim zdaniem, gdybym ja był na Pańskim miejscu — powiedziałbym do Panny Willie, żeby poszła sobie siedzieć gdzieindziej. Panna Willie nie ma za dużo na sobie. Tylko ten skąpy kawałek sukienki, Panie Vic. To właśnie chciałem Panu powiedzieć.

— Powiedziałem ci — podaj mi drąg.

Hubert poszedł na koniec werandy i podał Vicowi ciężki, żelazny drąg do podpierania przy wadze bawelny. Potem usunął się na bok.

— Szeffe — powiedział Hubert — prawda, że nie mamy zamiaru szukać sobie dzisiaj żadnych kłopotów — no nie?

Vic gotował się skoku na podwórko, kiedy człowiek spod wodnego dębu sięgnął do kieszeni i wydobyl drugi nóż, długi na dziesięć, jedenaście cali. Obydwie strony rękocyści oprawione były w pokrytą włosiem krowią skórę. Na jednym końcu znajdował się przycisk do sprężyny.

Człowiek nacisnął kciukiem guzik — ostrze wyskoczyło z pochwy. Wtedy zaczął zabawiać się obu nożami, podrzucać je w powietrze i przychwytywać wierzchem dloni.

Hubert przeszedł na drugą stronę, za Vica.

— Panie Vic — powiedział — nie mam zamiaru mieszać się do żadnego z Pańskich interesów — ale wydaje mi się, że narobi pan sobie sążnistych kłopotów jeśli pójdzie Pan tam i przyprowadzi tutaj pannę Willie. Tak mi się widzi, że ona bardziej wdała się w dziewczynę z miasta niż ze wsi.

Vic sklął go.

— Mówię Panu — panie Vic dziewczyna ze wsi nie siedziałaby tak na najwyższym schodku — na przeciwko mężczyzny; w każdym razie nie wtedy, kiedy nie ma nic na sobie — tylko ten niebieski galgan.

— Zamknij gębę — powiedział Vic, kładąc żelazny drąg obok siebie na koldrze.

Człowiek spod dębu zamknął scyzoryk i schował go do kieszeni. Wielki, pokryty krowią skórą nóż cisnął w górę i zręcznie przychwycił go grzbietem ręki.

— Jak się nazywasz? — zapytał Willie.

— Willie.

Znowu cisnął nóż w górę.

— A ty? — zapytała.

— Floyd.

— Skąd pochodzisz?

— Carolina.

Podrzucił nóż jeszcze wyżej i chwycił go w rękę.

— Co robisz w Georgii?

— Nie wiem — powiedział — wiódzę się.

Willie zachichotała.

Floyd podniósł się, przeszedł przez podwórko aż do schodków i usiadł na najniższym. Rękoma objął kolana i spojrzał na Willie.

— Wcale nie jesteś taka brzydka — powiedział. — Widziałem mnóstwo brzydszych.

— Ty także nie wyglądasz najgorzej — zachichotała Willie opierając się ramionami o kolana i patrząc na niego z góry na dół.

— Dabawisz casusa?

— A według ciebie jaki on będzie?

— Niczego sobie. Myślę, że próbowałem już w życiu całe mnóstwo gorszych.

— Być może, ale jak będziesz tam siedział — wcale go nie dostaniesz.

Floyd wlał na schody podpierając się rękami i nogami i przysiadł przed najwyższym stopniem. Pochylił się w stronę Willie, jedną ręką objął jej kibić, drugą sięgnął wyżej kolan. Willie zsunęła się do niego.

— Szeffe — powiedział Hubert, usta mu drżały — nie mamy chyba zamiaru szukać sobie dzisiaj kłopotów, prawda, że nie?

Vic sklął go.

Willie i Floyd zsunęli się na najniższy stopień nie rozluźniając uścisku.

— Jak by nie było — chciałbym wiedzieć kto to jest ten żółtogłowy maminsynek — powiedział Vic. — Niech mnie piorun spali, jeżeli on nie jest beczelny. Przychodzi tutaj i wygłupiać się z Willie.

— Prawda Panie Vic, że nie uczyni Pan nic takiego, co mogłoby narobić kłopotów? Zapewniam Pana, wcale nie uśmiechają mi się kłopoty, panie Vic.

Vic spojrzał na 9-calowy nóż, który Floyd wbił w stopień u swych stóp. Ostrze od koniuszka wystawa-

ło w górę na 8 cali. Słońce odbijało się od błyszczącej stali, a pasemka światła kładły się na nogawce od spodni Floyda.

— Pójdziesz tam, zabierzesz mu nóż i przyniesiesz go tu — powiedział Vic. — Nie masz się czego bać.

— Panie Vic, z całą pewnością jest mi nieprzyjemnie Pana rozczarować, ale jak Pan chce mieć nóż tego białego — będzie Pan musiał sam go sobie przynieść. Wcale mi na tym nie zależy, żeby zadźgał mnie przy pomocy tego narzędzia. Panie Vic z całą pewnością tym razem nie będę w stanie Pana zadławić. Jeżeli chce Pan mieć nóż tego białego, Panie Vic — będzie Pan zmuszony samemu go sobie zabrać.

Vic sklął go.

Hubert cofnął się aż na sam koniec werandy. Przez cały czas nie przestawał oglądać się za siebie, mierząc dokładnie wzrokiem lokację pnia sykomor, który znajdował się pomiędzy nim a laskiem piniowym po drugiej stronie bawelnianego pola.

Vic zawołał Huberta i kazał mu wracać. Hubert przeszedł wolno dookoła naroznika werandy i stanął o parę stóp od koldry, na której siedział Vic. Wargi mu drżały a białka oczu robiły się jeszcze większe.

Vic poleciał mu podesnąć bliżej, ale ten nie ruszył się ani o cal dalej.

— Ile masz lat? — Floyd zapytał Willie.

— Piętnaście.

Floyd wyrywał nóż z drzewa i wepchnął go głębiej w to samo miejsce.

— A ty ile masz lat? — zapytała.

— Mniej więcej 27.

— Jesteś żonaty?

— Teraz nie — odpowiedział.

A ty — jak długo?

— Około trzech miesięcy — powiedział Willie.

— Podoba ci się?

— Jak dotychczas — całkiem, całkiem.

— Co powiesz na nowego casusa?

— Dostałem jednego przed chwilą.

— Teraz chciałbym drugiego.

— Nie powinienam pozwolić, abyś mnie znowu pocałował.

— Dlaczego nie? — zapytał Floyd.

— Mężczyźni nie lubią kobiet, które za dużo się całują.

— Ja do takich nie należę.

— A do jakich? — zapytała Willie.

— Chciałbym całować się z tobą mnóstwo razy.

— Ale potem jak pozwolę — odejdziesz?

— Nie, nie odejdę. Poczekam na co innego.

— Na co?

— Wejdźmy napić się do źródła — to ci powiem.

— Musielibysmy pójść do źródła po świeżą wodę.

— A gdzie jest źródło?

— Prosto przez pole — w lasku.

— W porządku — powiedział Floyd — podnosząc się. — Chodźmy.

Pochylił się i wyciągnął nóż z drzewa. Willie zbiegła ze schodów i pognęła przez podwórze. Kiedy Floyd spozostzegł, że nie czeka na niego, pobiegł za nią, trzymając nóż w kieszeni jedną ręką. Poprowadziła go przez bawelniane pole do źródła w piniowym lasku. Tuż przedtem zanim się tam dostali Floyd chwycił ją za ramię i biegł już obok niej przez całą pozostałą część drogi.

— Szeffe — powiedział Hubert — nie mamy zamiaru szukać sobie dzisiaj kłopotów — no nie?

Vic sklął go.

— Wcale nie uśmiecha mi się, żebym został wmieszany w kupę kłopotów, a może nawet żebym miał mój brzuch otwarty „na oscieć” tym wielkim, włochatym nożem. Jeżeli nie ma Pan zastrzeżeń, myślę pójść teraz do domu i porządkować trochę polan pod kuchnię.

— Wracaj — powiedział Vic — masz być tutaj i przestań szukać sobie wkrętów, żeby ciad odejść.

— Panie Vic — co Pan ma zamiar zrobić?

Vic ulżył sobie z werandy na dół, poszedł przez podwórze do wodnego dębu. Spojrzał na ziemię, gdzie poprzednio siedział Floyd, a potem rzucił okiem na schody, gdzie siedziała przedtem Willie. Poprzez cienkie liście nad głową — uderzał popołudniowy upał. Vic czuł, że od rozpalonego powietrza, którym oddychał, płoną usta i gardło.

— Hubert — masz dubeltówkę?

— Nie, Panie szeffe — powiedział tamten.

— Dlaczego nie masz? — rzekł Vic. — Właśnie wtedy kiedy potrzebuję dubeltówki — nie masz jej. Dlaczego nie posiadasz dubeltówki?

— Panie Vic, nie miałbym żadnego pożytku z dubeltówki. Kiedyś miałem — na krótki i wiewiórki, ale jakiegoś dnia zebrało mi się na myślenie i wtedy przebandlowałem ją przy pietwowej okazji, jak mi się nadarzyła. Tak mi się widzi, że i dobrze zrobiłem, że ją

Pstragi W MARTWYM MORZU

Warszawskie eliminacje studenckich zespołów satyrycznych, które odbyły się w maju br. nauczają nas bardzo dużo. Między innymi wykazały, że aby mówić ze sceny trzeba dobrze wiedzieć po co o się mówi, w czym imieniu i o czym.

Studencki teatr satyryczny, to teatr wojowy, który się bije o rzeczy konkretne, jest jak najbardziej zaangażowany w naszą codzienną walkę, pomaga „nowemu” pokonywać „stare”. Aby stać się w pełni trubadur ludzi, którzy nie przechodzą obojętnie obok dziejących się spraw, musi chwycić problem za rogi. Cały jego urok polega na świeżości spojrzenia, na rozpalaniu problemów, które dla wielu jeszcze „nie dojrzały”. Stąd wniosek, że taki teatr aby żyć musi trzymać rękę na pulsie i wiedzieć, czym pachną aktualne wiatry.

Tymczasem co się okazuje? Im dalej od Warszawy, tym dalej od istotnych, aktualnych, „centralnych” problemów. Przybliżyliśmy komunikacyjnie Łódź do Warszawy, teraz znów przybliżamy Stalinogrod — a rozdźwięk między stolicą i prowincją nadal istnieje. I kiedy dla „dalekich od Warszawy” odwilż była ostatnim krzykiem mody, ostatnią nowinką, o której jeszcze nie wiadomo co myśleć — warszawski teatr satyryków pokazał na eliminacjach „Konfrontację” — frontalny atak na przegięcia „odwilży”. To, że „Konfrontacja” była najżywszym, najbardziej aktualnym i bojowym programem — nie ulega wątpliwości. Ten teatr walczył.

A inne? Czy nie walczyły? Mówiły o tym, że w Domach Studenckich panuje bałagan, że lekarze uczelniani pracują taśmowo, że nawet filmy radzieckie nie są idealne, że aktywiści krzywo patrzą na kawiarnie itp. A więc co? Stare, wieczne tematy z cyklu: „Wiece, królowa Bona umiera”? Stopienie zmysłu obserwacyjnego u autorów programów „niewarszawskich”? Jedno było pewne — pociąg wiozący na eliminacje problematykę z Krakowa, Łodzi czy Poznania mówiący ogólnie przyjechał do Warszawy trochę za późno. Za późno o z górą pół roku. Przecież w okresie eliminacji głównym zagadnieniem była walka z przegięciami i z tendencjami wpadania z jednej krańcowości w drugą! A tu naraz takie tematy sprzedz lat!

Tak to wygląda od strony Warszawy.

Pisało i krzyczało się u nas, nawet nie tak dawno, o szkodliwej

centralizacji. Że nie można. Że to niezdrowo. Niesocjalistycznie. I w ogóle głośno mówiło się w ten sposób — a po cichu ściągano się i ściągano do Warszawy co lepsze pióra, głosy, talenty, sceny i estrady, siły naukowe itp. Ci „porywani” wcale się na ogół nie opierają. Ale to „kaperowanie” demoralizuje innych, którzy też czekają na podobną przysgodę. No i nic dziwnego, że poszczególne środowiska prowincjonalne nie mogą wykształtować swojego profilu, jakiejś zdecydowanej atmosfery.

Na przykład Łódź.

Jest i Związek Literatów i Filharmonia i Opera i 2 wytwórnie filmowe i 10 wyższych uczelni (w tym 4 artystyczne) i rekordowa ilość kin w porównaniu z innymi miastami. Żyć nie umierać! Niestety, żyć można tylko od czasu do czasu. Łódź miała „Łaźnię”, bo ma jak na razie Dejmka. Ale miała jeszcze wielu tego pokroju ludzi, którzy jednak ostatnio zasilili „ubogą” Warszawę i przyczyniają się teraz do osiągnięcia przez nią wymarzonego milionowego mieszkańca.

Marazm, zastój, oczekiwanie na wizję do stolicy, brak szeroki, gorących dyskusji. Zagraniczne zespoły z reguły omijają miasto komińców. Dziwnie senne jest to drugie pod względem zaludnienia miasto w Polsce. Jeśli są jakieś żarliwe dyskusje — to pokątnie. Próżno ich szukać w „Kronice”. Ludzie jeżdżą do Warszawy, opowiadają sobie na ucho co Putrament powiedział Ważykowski — a łódzkie „martwe morze” stoi niezmaczone.

W studenckich eliminacjach zespołów satyrycznych brał również udział Studencki Teatr Satyryczny Międzyuczelnianego Klubu Studenckiego z Łodzi z programem pt. „Pstragi”. Jak wiadomo zespół ten nie odegrał w Warszawie żadnej roli.

Nieudolność autorów? Zły kierunek uderzenia? Diagnosta jest krótki — „Pstragi” to dziecko konkretnego środowiska.

Autorzy programu postawili sobie za cel włączenie się do walki z różnymi przeżytkami i przegięcia-

mi. Chcieli stworzyć program śmiały, aktualny i bojowy. Tworzyli go jednak w atmosferze zastój i ciszy. Nie styszei szeroki dyskusji, które by im lepiej otworzyły oczy na łódzką problematykę. Poszli na wyczucie, co jak wiadomo nie jest najlepszą drogą. I na pewno „Pstragi” nie były najcelniej wymierzone. Często były w sprawy już dawno poruszone, wykpiwane i, ustawiane przez prasę — miejscową i ogólnopolską. Trudno więc było znaleźć zrozumienie u publiczności, którą poruszane przez studentów łódzkich problemy dawno przestały obchodzić. Nie obchodzili warszawskiego widza, ale dla łódzkiego były jeszcze aktualne. Widz warszawski uśmiechał się zgrzytliwie: I po co oni walczą z wiatrakami? Kto im zabrania chodzić do kawiarni?

Właśnie, że zabraniał. Może nie tyle zabraniał ile krzywo patrzył na „wrogów rzeczywistości”, którzy lubili po prostu czarną kawę. I to był naprawdę problem w łódzkim środowisku studenckim. I dobrze, że „Pstragi” na to zareagowały. Bo program był robiony dla widza łódzkiego a nie warszawskiego.

„Pstragi” chciały odpowiedzieć na szereg problemów, które kwitły na łódzkim terenie. Nie zawsze im się to udawało, chociaż intencje były jak najbardziej szczerze. Widz chce oglądać problemy, z którymi styka się co dzień, na własnym terenie. Ale z tego nie powinien wynikać wniosek, że trzeba się poddać naskowski atmosfery „martwego morza”. Bo miarą wartości zespołów satyrycznych jest nie tylko ostrość formy, ale także i przede wszystkim poruszana problematyka. Zadaniam „Pstragów” była i jest walka o zmianę nastrojów łódzkiej młototy.

Czy jednak miarą wartości teatru winna być tylko problematyka? Przecież Poznań odniósł na eliminacjach piękny sukces, choć daleko mu było do bojowej „Konfrontacji”. Przecież „najdalszy od Warszawy” Gdańsk zajął pierwsze miejsce. Bo ze sprawą ataków na aktualne zagadnienia łączy się nierozdzielnie sprawa formy, o której nie tyle w pewnych wypadkach zapomniano

ile zlekceważono. Aby głos z trybuny jaką jest studencki teatr satyryczny docierał do najszerzego odbiorcy w formie sugestywnej, musi być dość specyficzny — nie gazetowy, nie referatowy i nie prelegencki.

I znów wróćmy do „Pstragów”.

Młodzież łódzka zbyt późno przypomniała sobie, że i ona ma prawo głosu, że istnieje i ma do spełnienia poważną rolę. Grupa studentów stworzyła ze pół. Zaczęło brać na warsztat problemy niekiedy nieknie nie nawet przez miejscową prasę, nie mówiąc już o „dorosłej” Estradzie Satyrycznej, która z reguły bije po marginesach naszego życia. Okazało się, że problematyka jest bardziej obfita niż to przypuszczano. Grupa zapaleńców zabrała się z publicystyczną pasją do roboty pragnąc wypowiedzieć się na swój sposób w znanych zagadnieniach. Wiedziała co chce mówić, o czym i do kogo, ale po drodze zapominała — w jaki sposób. Zapomniała o formie. W większości wypadków na scenę powędrował problem w takiej postaci, w jakiej go zaobserwowano — bez jakiegos przetworzenia. Oczywiście były i tematy przetworzone, ale tych było mało. Widza znającego problematykę łódzką te niedopracowania sceniczne nie raziły. Zadowolali się obecnością problemu na scenie, z którym się sam nieraz zetknął oko w oko. Ale to zlekceważenie formy (szeroko pojęte) — od literackiego aż do inscenizacyjnego ujęcia zagadnienia) wystąpiło jaskrawo przed widzem, dla którego problematyka łódzkiego środowiska nie była nowa. Czekal on przede wszystkim na dowcipne rozwiązanie sceniczne. Znalazł je w programie gdańskim, warszawskim i poznańskim. Nie znalazł wcale albo bardzo mało w pozostałych programach.

Olaszając wyniki warszawskich eliminacji i oceniając krótko każde przedstawienie Kazimierz Rudzki

powiedział o łódzkim przedstawieniu, że był to program bardzo słuszny. I tyle. Tak, bo teatr satyryczny to nie tylko „Notatnik prelegenta”, gdzie się słusznie ustawia zagadnienia. Autorzy łódzkiego przedstawienia chcieli stworzyć program bojowy, politycznie ostry i zdecydowany. Okazało się, że na dużej scenie warszawskiej została z tego gola teza polityczna i to wcale nie taka duża jak sobie wyobrażano. Normalna scena pokazała małość tezy, wykazała, że ci, którzy myśleli, że zdobyli Mount Everest, są dopiero na Gubałówce.

Warszawskie eliminacje były dobrą lekcją, były dobrą konfrontacją młodych sił, zamierzeń i możliwości. Nie wystarczy bowiem wiedzieć jedynie o czym się chce mówić, ale ważne jest czy się wie o czym trzeba mówić i w jak i

ANDRZEJ OŚĘKA

Niepotrzebni absolwenci

P o czterech latach studiów, po egzaminie magisterskim, młody obywatel powiniem — zdawałoby się — mieć u nas prawo do pracy w swoim zawodzie. Jeżeli ktoś ukończył medycynę — jest lekarzem, każdy inżynier znajdzie miejsce w fabryce lub na budowie. A spośród 120 historyków sztuki kończących w tym roku studia, przytłaczająca większość daleknie szuka pracy związanej ze swym wykształceniem. Czy warto było uczyć się tyle lat, aby trzymając dyplom w ręku usłyszeć: — nie ma etatów...?

II

Wygodnie jest wygłaszać płomienne zdania o posłannictwie młodych w umasowianiu sztuki, w opiece nad zabytkami prowincji. W ogóle wygodnie obracać się w sferze mitów — trudności, jak wiadomo, zaczynają się tam, gdzie w grę wchodzi fakty.

Niedawno „Trybuna Ludu” opublikowała grzmiącą korespondencję pewnego nauczyciela wiejskiego na temat absolwentów historii sztuki, którzy powodowani ciasnym egoizmem wolą pozostać w Krakowie czy Warszawie — niż na prowincji pełnić trudne i zaszczytne posłannictwo pionierów kultury. Artykuł ten był zatytułowany: „Prowincja? przynigdy!”. Obawiam się, że jego autor oraz redaktorzy „Trybuny” zapomnieli się po prostu zastanowić kto u możliwi absolwentom pracę na prowincji? Bo ów nauczyciel, który opiekuje się zabytkami swej okolicy, żyje przecież z pensji nauczycielskiej. Niechby spróbował opiekować się tymi zabytkami jako historyk sztuki!

Kiedy Ministerstwo Kultury i Sztuki zaproponowało absolwentom warszawskim siedemnaście posad zastępców konserwatorów wojewódzkich na prowincji — natchnieni zgłosili się chętni. Kilka osób na własny koszt pojechało do wskazanych przez ministerstwo miast. Wtedy jednak okazało się, że posady te są (niestety...) już zajęte. Pionierom kultury nie pozostało nic innego jak wykupić bilet powrotny do Warszawy.

Są absolwenci, którzy nie mają w stolicy ani mieszkania, ani z czego żyć — wyjechaliby wszędzie, gdzie danoby im pracę. Ale siedzą tutaj, mimo że ich sytuacja staje się coraz bardziej rozpaczliwa — bo pracy dla nich nie ma. Zaplanowana liczba etatów jest rzeczą stołkroć bardziej świętą niż ludzie, o których w tym planie zapomniano.

III

Kilku osobom udało się dostać do Państwowego Instytutu Sztuki, czy do Muzeum Narodowego. Ci wygrali wielki los. A inni?

Jedna z koleżanek ma pół etatu w pracowni fotograficznej. Inna prowadzi bibliotekę przy jakimś zakładzie. Dwaj koledzy są mixerami w Polskim Radio. W Krakowie absolwentka z tytułem magistra pracuje na etacie woźnego, za 490 złotych — co prawda w bibliotece. Czemu więc na etacie woźnego? Bo innych nie było!

Jeden z kolegów oprowadza po Muzeum Martyrologicznym w Oświęcimiu — wątpliwe zajęcie dla kogoś, kto studiował malarstwo i rzeźbę. Innemu zaproponowano pracę administracyjną w Urzędzie Konserwatorskim. Jedyny kontakt z zabytkiem miał polegać na tym, że za ścianą mieści się magazyn rzeźb. Ktoś z koleżanek pracuje w Muzeum Narodowym w Poznaniu, ale

s p o c ó b. Inaczej głos młodych nie do widza nie dotrze z zamierzonym skutkiem. Eliminacje nauczyły też, że problematykę trzeba czerpać nie z gazet, ale z bezpośrednich kontaktów z ludźmi. I trzeba walczyć. Studencki teatr satyryczny — teatr m ł o d y c h — musi się przyczynić do rozruszania prowincjonalnej martwoty. Może to brzmi trochę pompastycznie, ale wydaje mi się, że właśnie młodzieżowym teatrem satyrycznym przypada w udziale rola zamieszania w „martwym morzu”. Nawet przez sam fakt zabrania głosu w sprawach aktualnych. A że młodzi potrafią przemawiać pełnym głosem i niezwykle bojowo to widzieliśmy na eliminacjach. Trzeba, żeby sobie uświadomili jaka jest ich rola w ich środowisku i czego inni od nich oczekują. Inaczej decentralizacja zostanie tylko sloganem.

Łódzki „Pstrąg” zrozumiał nauki warszawskich eliminacji. Zrozumiał też, że nie wolno mu czekać z założonymi rękami aż ktoś rozrusza łódzkie „martwe morze”. Musi się sam poddać próbie młodości. O ile mu się to uda — przekonamy się jeszcze w tym roku na premierze nowego programu



Rys. Jerzy Cwiertnia

przehandlował. Jakbym ją miał — Pan by się o nią pytał — tak właśnie jak teraz.

Vic wrócił na ganek, podniósł nóż do bawelny i zaczął walić nim w drzewo. Potem, kiedy uderzył w ganek z cztery, pięć razy — rzucił go i ruszył w kierunku źródła. Doszedł aż do miejsca gdzie kończył się cień i tam się zatrzymał. Stał, nasłuchując przez chwilę.

Od źródła dochodziły głosy Willie i Floyda. Floyd mówił coś do Willie a Willie śmiała się głośno.

Przez szereg minut panowała cisza, a potem Willie zaśmiała się znowu. Vic już chciał wracać na ganek — kiedy usłyszał jak krzyknęła. Zabrzmiało to jak pisk, ale dokładnie nim nie było; zabrzmiało jak jęklący krzyk — ale nie było nim także. Brzmiało to raczej jakby ktoś śmiał się i płakał równocześnie wysokim, cienkim tonem głosu.

— Panie Vic — skąd przybyła tutaj panna Willie? — zapytał Hubert. Skąd ją pan przyprowadził?

— Kawalek stąd. Niedaleko — brzmiała odpowiedź.

Hubert słuchał odgłosów, które szły z piniowego lasku.

— Szeffie — powiedział po chwili — tak mi się coś wydaje, że nie poszedł pan wystarczająco daleko.

— Dla mnie wystarczyć — powiedział Vic. — Jeżelibym poszedł dalej — byłbym na Florydzie.

Murzyn pochylił parę razy ramiona do przodu, szeroką podeszwą buta wyglądał biały piasek.

— Panie Vic, gdybym ja był na Pańskim miejscu, następnym razem na pewno poszedłbym — aż tak daleko — może nawet dalej.

— Co ma oznaczać twoje „następnym razem”?

— Tak to sobie wykombinowałem, Panie Vic, że być może, nie będzie jej. Pan trzymał teraz dużo dłużej.

Vic skłął go.

Hubert szereg razy podnosił głowę i usiłował ponad wierzchołkami rosnących krzaków bawelny dojrzeć co dzieje się w piniowym lasku.

— Zamknij gębę i pilnuj swego nosa — powiedział Vic. — Zatrzymam ją dupką krótko nie wrócić do domu. Gdzie — twym zdaniem — znajdzie ładniejszą dziewczynę od Willie?

— Szeffie — nie myślałem o tym jak ona wygląda — ale o tym jak się zachowuje.

— Tak się zachowuje — ponieważ jest za młoda, aby zachowywać się inaczej. Nie będzie już długo się tak zachowywać. To co teraz robi — przejdzie jej bardzo prędko.

Hubert siedł za Vic'em przez podwórko.

Podczas gdy Vic wszedł na ganek, Hubert stanął i oparł się o dąb. Z tego miejsca poprzez bawelniane pole mógł już prawie zobaczyć piniowy las.

Vic wszedł na ganek i wyciągnął

JEŚĆ, ALBO NIE JEŚĆ

Powszechna epidemia „znieczulicy“ objęła krag osób (w różnych stopniach i na różnych szczeblach) odpowiedzialnych za sprawę tzw. „zbiorowego żywienia“ studentów.

Symptomy chorobowe obserwujemy na przykładzie „kampanii stołwówkowej“, której terenem była Politechnika Warszawska. Pięcioletnia walka o stołwówkowe obiady, których jest ciągle za mało, toczy się nadal. — bez skutku, lecz jak się rzecz miała, ku pogwałceniu winnych tudzież dla wyciągnięcia wniosków — opowiem.

BARAK I MIRAŻE

Ładnych parę lat temu, gdzieś w początkach planu sześcioletniego, a-kurat w dobie wielkiej rozbudowy uczelni do rektoratu PW przyszła delegacja aktywistów ZSP, aby wyklatać... barak na stołwówkę dla gwałtownie rosnącej liczby studentów. Wystarczyłoby wybudować taki w pobliżu głównego gmachu Politechniki, a sprawa wyżywienia poważnej ilości stypendystów przestałaby na długie lata mieć pogodny spókoj zasiedziały (jak mniemam) w miękkich fotelach starszych panów, zwanych potocznie „czynnikami odgórnymi“. „Czynnikami“ (z ministerstwa i rektoratu) na „barak“ się nie zgodzili, ale na pocieszenie rektor prof. Bukowski z naczelnym architektem inż. Sigałnem ukazał zdumionym oczom garstkę projektantów prozajcznego baraku wspinały projekt domu kultury dla studentów, który miał wkrótce stanąć tuż — tuż przy Politechnice, a miała tam być nie tylko komfortowa sala jadalna, ale nawet — kryte baseny! Gmachu tego nie wybudowano z przyczyn, o których już pisać hadko; — Takim samym mirażem okazał się Dom Studentki z dużą stołwówką, który miał stanąć na rogu Polnej i Nowowiejskiej. Jeszcze dziś się tam trawa zieleni! O tym, że poważna część studentów nie ma gdzie jeść obiadów „czynnikami“ absolutnie — i to bardzo konsekwentnie — nie myślały.

ARTYSTYCZNY NIELAD

Nie wiem, kto zdołałby wymyślić coś tak utrudniającego życie, jak... sieć stołówek, w których jadają studenci Politechniki. (Oczywiście tylko ci, dla których wystarczyło miejsce). Czasem jednak rzeczy trudne do wymyślenia są wynikiem po prostu czystszej genialnej beznamiętności. Tak bywa np. z artystycznym nieszczęściem. (Można też wytłumaczyć wszystkie trudnościami obiektywnymi, bo to najprościej, najłatwiej i bez komplikacji).

W tym szaleństwie jednak jest metoda: „sieć“ skonstruowana jest

na zasadzie „był dalej od uczelni“, bo jak powszechnie wiadomo, dla wygody studentów stołwówkę mieszczą się w Domach Studenckich, o których rozmieszczeniu nie pozytywnego ani odkrywczego nie da się napisać. Student, który pragnie zjeść obiad (są jednak tacy!) musi tracić masę c. su. na dojazd, przyjazd, odjazd i inne jazdy.

A teraz — drogie „czynniki“ wspomnijcie swoje młode lata! Który z was w życiu swego wiośnie docenił „maczenie sprawy tak prozajcznej, jak regularne odżywianie?

IZA RADZIEWICZ

Nie docenia jej też „dzisiejsza młodzież“, o której tu piszę. Stołwówka daleko, a czas — jakże drogi! Studenti rezygnują więc z obiadu na rzecz wartości duchowych, albo tracą w pierwszej połowie miesiąca całe stypendium na jedzenie restauracyjne, no a w tej drugiej żyją czarną zbożową kawą, papierosami i wspomnieniami o schabowym kotlecie. Niektórzy dowodzą, że jeżdżenie na obiad nie opłaca się nie tylko ze względów czasowych, ale i dlatego, że w trakcie walki o miejsce w warszawskim tramwaju traci się wszystkie spożyte kalorie.

Dla uzupełnienia podaje, że w gmachu głównym Politechniki jest bar mleczny, ale to nie zastępuje stołwówki. Studenti skazani na jedzenie obiadów wyłącznie w barze, wkrótce dostają mlekowstręt u komplikacji.

Przeprowadzane przez uczestników „kampanii stołwówkowej“ z ZSP statystyki wykazały wielką przypadkowość odżywiania się studentów — stypendystów. O smutnych tego skutkach będzie jeszcze mowa, teraz oddaję głos panu dyrektorowi Departamentu Młodzieży Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

ZDANIE PANA DYREKTORA

Gdy „czynnikami“ miejscowe nie wykazały dostatecznej energii w pałacej (już od lat!) sprawie stołwówki dla studentów Politechniki, zwrócono się do dyrektora Treibicza z ministerstwa. (Rzecz działa się dość dawno, ale jej skutki do dziś dają się we znaki). To co stwierdził pan dyrektor było olśniewająco proste: Stołwówek jest w Warszawie za dużo, więc budowa jeszcze jednej nie ma sensu. Tak, tak. Nie wierzyć? Proszę, oto papierki. A w papierkach cyferki. A cyferki mówią, że stołwówki w Domach przy ulicach Madalińskiego, Grenadierów, Karolkowej, nie są w pełni wykorzystywane, więc widocznie — jest ich za dużo.

Stosując taką metodę wnioskowa-

nia można udowodnić nawet to, o czym się filozofom nie śniło. Konsekwencją podobnego sposobu myślenia jest też fakt, że w ogóle nie zaplanowano stołwówki w DS na Kopieńskiej, chociaż jest to jeden z bardzo niewielu Domów wybudowanych w centrum, a nie na peryferiach miasta.

— Bez serc, bez ducha! — chciałoby się wołać słowami wieszczka ale... i chyba „bez rozważy“ są nieraz ludzie decydujący o wykorzystaniu olbrzymiej pomocy państwa dla studentów.

Jeszcze jeden przykład nieprzemyślanej gospodarki, to historia DS na Radomskiej. Był to Dom Studentek Politechniki. Obecnie jest przydzielony studentom Uniwersytetu „politechnicy“ zaś mają tam tylko swoją stołwówkę, do której biegają z Placu Narutowicza na posiłki. A ci z Uniwersytetu jeżdżą przeważnie jadąc na Krakowskie Przedmieście. Dowcipnie pomyślane, prawda?

KOCIOŁ I SPRAWA „REPERTUARU“

Podobno najdłuższe przekleństwa mają Arabowie. Ja jednak sądzę, że żaden Arab nie dorówna studentowi, gdy ten klinie na swoją stołwówkę.

Zbyt często powtarza się w stołwówkowym repertuarze powszechnie znienawidzona kasza i kluski. Kapusta, kiszona chyba w epoce kamienia łupanego, daremnie imituje „świeżą surówkę“. Kolacje rzadko kiedy bywają gotowane, tak, jak tego chcieliby studenci. Gdy zapytałam kierowniczkę stołwówki w DS przy placu Narutowicza, co myśli na ten temat, odrzekła, że rozmaitość potraw zależy m. in. od — ilości kotłów w kuchni, a właśnie podczas Festiwalu popustu jeden stołwówkowy kocioł, który „reperuje się“ do tej pory. Poza tym — brak jest maszyn do obierania ziemniaków, trzeba obierać 1300 kg. kartofli ręcznie, co zajmuje masę czasu. (Dlatego nie ma odgrzewanych kartofelków na kolację...) No i — naprawdę nie łatwo jest swobodnie komponować całodienne wyżywienie studenta za 10,50 zł tak, aby „niczego nie brakowało“. A jak jest z higieną? — Otóż i bomba! Naczynia myje się w stojącej wodzie...

Podobno był okres, w którym stołwówka w DS przy placu Narutowicza była wzorem i przykładem dla innych.

CO SIĘ DZIEJE Z KALORIAMI?

Niedawno przeprowadzone badania nad kalorycznością posiłków w

stołwówce pól-sanatorium studenckiego wykazały, że zamiast zaplanowanych teoretycznie 4.500 kalorii, do studenta dociera 2.900. Teoretycznie wyliczenia są bardzo wysokie, ale student dostaje przeciętnie o 1.500 kalorii mniej, niż wskazuje wyliczenie. Te kalorie ciągle rozprasza, idąc się gdzieś po drodze i mimo że już siedem razy zmieniano kierownika stołwówki stan nie uległ olśniewającej poprawie. A co się dzieje w normalnych stołwówkach studenckich, w których kierownicy są od lat „nie przewietrzani“? Trzeba mieć bardzo różowe okulary, żeby myśleć, że tam jest lepiej.

Z LEKARSKIEGO NOTATNIKA

Wynikiem niedożywienia bywa najczęściej anemia i gruźlica; skutkiem złego systemu odżywiania się w ogóle — wszelkie schorzenia przewodu pokarmowego i nerwice.

Wyniki badań lekarskich z roku 1952 świadczą, że na 100 studentów Politechniki 2,2 cierpi na ostre schorzenia przewodu pokarmowego. Wyniki z ubiegłego roku akademickiego nie wykazują poprawy, bo mamy już stosunek 6 na 100.

Tymczasem — wśród studentów SGPS najprawdopodobniej dzięki lepiej rozwiązanej sprawie stołwówek i bardziej uregulowanemu trybowi życia liczba schorzeń tego typu jest o połowę mniejsza.

Znamienne jest, że 1/5 miejsc w uzdrowiskach zajmują studenci ze skierowaniami z powodu chorób przewodu pokarmowego. Jest to stan daleki od normalnego i bardzo niepożądany!!! Ludzie niedożywieni, cierpiący na choroby żołądka i nerwice pracują mniej wydajnie od zdrowych i żyją krócej! Student, który będzie chory z powodu złe zorganizowanego odżywiania, ma bardzo małe możliwości zwrócenia państwu przez swą pracę kapitału włożonego w jego wykształcenie. Może to wyzute z wszelkiego sentymentu stwierdzenie podziłać na czynniki objęte „znieczulicą“.

Cheśmy, aby nareszcie załatwiono sprawę dodatkowej stołwówki dla studentów Politechniki w pobliżu uczelni!!!

Niech Stołeczna Rada zadecyduje np. aby zamienić na stołwówkę trzeciorzędna restaurację przy placu Zbawiciela. MDM ma tak wiele wspaniałych zakładów gastronomicznych, że wielkiego ubytku z tego powodu nie będzie.

Niechaj zaczęną działać komisje, skutecznie kontrolujące kaloryczność posiłków i higienę w stołwówkach!

I myślę, że warto podnieść przynajmniej o całodzienną normę przeznaczoną na całodzienny posiłek studenta. Niedożywieni żyją krócej!

KORESPONDENCJE ■ KORESPONDENCJE

Quod capite — tot sensus*)

W stołwówkach akademickich Krakowa, prowadzonych przez PSS, wprowadzono nie były jakie „usprawnienia“. Usprawnieniem tym jest zastosowanie blaszanych zetonów, które każdy student musi oddawać w zastaw za pobrane naczynia.

Rezultat jest taki, że obecnie każdy musi stać codziennie 4 razy w kolejce: pierwszy raz po obiad, drugi raz po odebranie lyżki i widelca, na które oddaje się zeton, trzeci raz po deser (kompot, kawa, herbata itp.), czwarty z naczyniem po odebranie zetonu.

To ma być zabezpieczenie przed wynosem ze stołwówki naczyń przez studentów. Ciekawe naprawdę, czy studenci krakowscy aż tak bardzo zaawansowani są w kleptomanii, żeby stosować takie środki. Wydaje się, że nie jest tak tragicznie. Niewątpliwie zdarzały się wypadki, szczególnie w domach żeńskich, że koleżanki przynosiły swoim chorym współlokatorom obiady do pokoiów i „zapominały“ o oddaniu naczyń, ale takie wypadki mogą zachodzić tylko w tych stołwówkach, które mieszczą się w domach studenckich. Nie wydaje mi się jednak, aby robiono to na skalę masową. W ostateczności można się przejść po pokojach i pozierać te naczynia; nikt chyba nie przypuszcza, że koleżanki sprzedają je na „tandeter“.

Kompletnym jednak absurdem jest mechaniczne stosowanie zetonów w ta-

kich stołwówkach, jak np. stołwówka nr 15 (WSE), która znajduje się w byłym domu akademickim, zamienionym przez biły ZOa na mieszkanie prywatne. Z takich stołówek na pewno nikt nie wynosi naczyń na „eksport“.

A jak się przedstawia sprawa finansowa tej „racjonalizacji“ zetonowej? PSS wydał prawdopodobnie na zetonowy dla stołówek środowiska krakowskiego ok. 32 tysięcy zł. Do tego w każdej stołwówce (jest ich 12) pracuje kobieta zajmująca się zetonową biurokracją. Załóżmy, że każda z tych kobiet ma tylko 300 zł pensji, to w skali rocznej wynosi 6 tysięcy, pomnożone przez 12 (ilość stołówek).

72.000 zł
+ 32.000 zł
104.000 zł

Nie jestem pewien, czy właśnie tyle wynosiły straty PSS spowodowane zagubieniem naczyń. Wiem jednak jak bardzo skomplikowane zjedzenie obiadu. A może tak wróciłibyśmy do tradycji średniowiecza, kiedy to zakowice krakowskie, studenci słynnej „Alma Mater Jagiellonica“ nosili u pasa gliniane garnuszki i drewniane lyżki?

F. Kamysz
WSE Kraków

*) Co głowa, to rozum.



Bal maskowy Łódzkiej studentów

Inicjatywa zorganizowania „Jesiennych Igraszek studenckich“ wyszła od grupy aktywistów studenckich i tegorocznych absolwentów łódzkich wyższych uczelni skupionych wokół Związku Uczelnianego Klubu Studenckiego. Zaplanowano wielki pochód przez miasto w egzotycznych strojach balowych, ognisko w parku helewenskim, bal maskowy w hall „Sparty“ i następnego dnia szereg imprez sportowych.

Organizatorzy jak zwykle w wypadkach montowania imprez „nowych“ nie spali, nie dojadali, drząc o efekt swych zachodów. Do ostatniej chwili nie było bowiem pewności, czy studenci dopiszą, czy przybędą w odpowiednich strojach na bal maskowy. I choć wieści dochodzące z teatralnych garderób w formie rozpaczliwych okrzyków magazynierów: „jesteśmy obłędni!“ — powinny pocieszać, organizatorzy byli nastroszeni minowatym.

Tuż przed pochodem spadł deszcz, a mimo to egzotyczny korowód ze śpiewem, orkiestrami i pochodniami przeciągnął ulicami Łodzi. A już to co się działo wieczorem w hall „Sparty“ przeszło najmilsze oczekiwania. Ponad 1000 piratów, wiernych paziów, chuliganów (oczywiście tylko przezbranych), rycerzy, lordów, Beduinów, Cyganek, dam siedemnastowiecznych — bawilo się wesoło przez całą noc.

W. Mach
Fot. A. Joselewicz

WZNOWIENIA CIEKAWYCH PRZEKŁADÓW LITERATURY RADZIECKIEJ	
M. Jachontowa	OKRETY WYCHODZĄ NA MORZE Tłum. z ros. J. B. Ryehliński S. 466 wyd. II — opr. płóc. — zł. 17.30
L. Linkow	KAPITAN „STAREGO ŻÓŁWIA“ Tłum. z ros. J. Brodzki S. 206 — zł. 5.90
M. Panow	NA OCEANIE Tłum. z ros. K. Truchanowski S. 310 — zł. 10.—
E. Ryss	WYCHOWANEK KAPITANÓW Tłum. z ros. I. Tuwim i J. Stawiński S. 308 wyd. III. — zł. 9.80
M. Trublaini	SKUNER „KOLUMB“ Tłum. z ros. J. Tuwim i J. Ryehliński S. 370 wyd. III. — zł. 17.— Z CYKLU „ZŁOTA BIBLIOTECZKA“
G. Markow	NAD JUKSZA Tłum. z ros. S. Pollak 2 tomy, s. 364 i 454 — wyd. III opr. płóc. — zł. 21.—
P. Werszyhora	LUDZIE O CZYSTYM SUMIENIU Tłum. z ros. L. Lewin S. 584 wyd. V opr. płóc. — zł. 13.85
NAKŁADEM WYDAWNICTWA MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ	
K. 7236-1	

Systematyczne otrzymywanie po prostu zapewni Ci jedynie prenumerata pocztowa

Wydaje Zarząd Główny ZWIĄZKI MŁODZIEŻY POLSKIEJ Red nac. ELIGIUSZ LASOTA. Kolegium redakcyjne: ANNA BRATKOWSKA (zast. red. nac.), STANISŁAW CHIEŃSTOWSKI, BARBARA KALAMACKA, WIESŁAW SZYMER, RYSZARD. Adres redakcji: W-wa, Wiejska 17. Telefon: redaktor nac. — 841-24, centrala — 832-91, 832-92 832-93. Prenumerata: miesięcznie — 1,40 zł półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80. Nakładem RSW „Prasa“. Administracja: RSW „Prasa“, Pl. Delegatura, Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11. Drukarnia: RSW „Prasa“, W-wa, ul. Marszałkowska 3/5, Zam. 2222, B-6-12809

Aby pragnienie stało się meczące

(Dokończenie ze str. 1)

ba wyjść z ogniem, z wielkim płomieniem uświanomienia politycznego. Chłopa trzeba zapoznać z wszystkimi zdobyczami kultury i cywilizacji i to zapoznać namacalnie — chłop musi zobaczyć kulturę i postęp.

Nie wyczyta jej z wyblakłego transparentu, z brudnej i opuszczonej świetlicy, nie zrozumie, gdy mu rzucą slogan, nie zbudzi się, gdy mu się powtórzy papierowe argumenty podczas długiego i nudnego przemówienia... Raczej usnie mocniej.

Nie docenia się tu u nas roli oddziaływania kulturalnego. Nikt potrzeby tego oddziaływania tu nie rozumie.

Spytacie o czynniki nadrzędne? Ha, przycumuje tu nieraz popielata czy czarna limuzyna, zanotują sobie cyfry, wykpią się z przyjemnością w dobrze podanym lakierze, odają-kuja i spókoj.

Za zboże siedział tu już niejeden, za kulturę jeszcze nikt.

Nie, nie chcemy, żeby do tego doszło, ale chcemy żeby było lepiej. Chcemy, żeby się stał komunizm. Chcemy szybko. Nie chcemy, aby chłopie spółdzielni produkcyjnej w Byszewie Grabowskim zasładali w brudnej i obkuranej norze zwanej świetlicą. Żeby w tych brudnych chłano wódkę. Nie chcemy, aby na chłopskich zabawach w Topoli Królewskiej, Wilczkowicach czy Parzecewie pękaly czerepy ludzkie. Nie chcemy, aby trzeba było synów ludu zamękać na lat kilka do kryminalu za opilstwo i chuligaństwo. Nie chcemy, aby przed nocnymi wyczynami miejscowej hulastry uciekali z naszych ciemnych uliczek aktorzy Teatru Ziemi Łódzkiej. Nie chcemy, żeby nasza młodzież jedyną okazję do śpiewania miała w kościołach i domach parafialnych. Nie chcemy, żeby omijano nasze świetlice i domy kultury i żeby spławiano w ich kierunku z pogardą.

Chcemy, żeby w świetlicach wiejskich zajaśniało. Żeby zbudziły się wspaniałe piosenki ludowe i uśmiechy barwnych widowisk. Chcemy, żeby ze świetlic do chat poszła dyna łączycyca i zastąpiła tam jasz zniekształcony i szpetny. Chcemy, żeby wraz z radością życia społeczności wiejskich wyrastała w duszy chłopiejskiej świadomość Nowego, żeby odczuło tam potrzebę lepszego życia, żeby pragnienie stało się meczące, żeby zateknięto do socjalizmu, żeby ze świetlic właśnie wyszły nowe wici słonecznego Jutra.

Wyobraźcie sobie, Koledzy, że na wsi leżyćkiej, na wsi, która miała tak bogate tradycje ludowo-kulturalne, nie ma obecnie ani jednej przyzwoitej świetlicy!

My jesteśmy tu w dużo lepszym położeniu od kolegów z Brzozowa — mamy piękny Powiatowy Dom Kultury. Tylko, że nie się w tym domu nie dzieje. Działa tam „kolo zetempowskie“, które nie życzy sobie napywu inteligentów — wręcz ich zwalcza. Takie tu, niestety, stosunki. Z Domu Kultury odeszli nawet starsi zetempowcy. Chcielibyśmy wbrew temu wszystkiemu coś w tej sprawie zrobić. Chcemy pomóc nowemu, młodemu, inteligentnemu kierownikowi Powiatowego Domu Kultury.

Odwiedziłem ostatnio kilku kolegów. Marzy tu dużo „nowych twarzy“. Przyjechał inżynierowie-górnicy. Rośnie w Łęczycy wielkie zagłębie rud żelaznych. Górnicy na razie strasznie zapracowani. Mieszkania prowizoryczne, przy rodzinach. A wieczorami wódka...

Stary działacz zetempowski z krakowskiej Akademii Górniczej inż. Strzyżewski — dziś członek partii, mówi, że „nie ma się kiedy wys...“. Rozumiem go. Ma odpowiedzialne stanowisko w kopalni, działa w organizacji, wyklada w Szkole Górniczej. Będzie zresztą z nami współpracował.

Chcemy założyć Klub Młodej Inteligencji.

Kol. Andrzej Klein jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Chciałby coś robić społecznie, ale ma „stare“ rozezorowanie. Był na uczelni przewodniczącym kola naukowego, działał w ZMP. Mówi, że jednak zasada wielu kolegów — „nie wychylać się“, zdawała dotychczas najlepiej egzamin.

Kolegę Andrzeja zastaje przy modelowaniu pomnika poległych żołnierzy WP. Temat: „Polegliśmy aby Polska żyła“. Mówię mu: „Andrzeju, ale przecież my tu prawie gniemy, czy po to oni zginęli...“

Zasiliśmy potem do jego mieszkania. Dwie małe izdebki mieszkania jego, rodziców to małe muzeum. Ojciec Andrzeja, inż. Antoni Klein, zapatrjuje leżycyckie muzeum w ekspozycję. Robi to tak, prywatnie, z własnej inicjatywy. Obecnie siedzi nad skamielinami. Nazbierał tego dużo podczas urlopu, dużo się też nadzwigał. W długie, zimowe wieczory będą razem z Andrzejem segregowali. Ojciec Andrzeja zajmuje się też numizmatyką i filatelistyką, jest bibliofilem. Wyglądają właściwie na braci. Ojciec ma nawet więcej zapłać do pracy w Klubie niż syn. Trochę to wstydi. Prawda Andrzeju?

Byliśmy w tych dniach w domu rodzinnym aktorów miejscowego, nieistniejącego już dziś, teatru amatorskiego PDK — u pp. Szyfmanów. Zastaliśmy wszystkich w komplecie. Jest nawet nasza stara inspicjentka i „garderobiana“ — pani Osmani-czykowa. Tak, matka Edmunda. Pamiętam jak zawzięcie prasowała nasze stylowe kostiumy z „Wassy Zeleznowej“, jak wyganiała na scene, podając nerwowo rekwiizyty. Teatr się „spalił“ — został żal i gorycz ludzi niepotrzebnych.

Pani Aleksandra Szyfman, wdowa po adwokatce, były reżyser teatru, i Wassa, niemała placze na wspomnienie. Wygrzyziono ją z PDK — nie miała „kręgosłupa“ i jeszcze coś

WŁODZIMIERZ PIOTROWSKI Łęczycy

P. S. Liczymy na kontakty.

